



JAN RZYMEŁKA

Warszawa, 22 marca 1947 r. Członek Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Warszawie, p.o. sędzia Halina Werenko, przesłuchała niżej wymienionego w charakterze świadka, bez przysięgi. Po uprzedzeniu o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań oraz o obowiązku mówienia prawdy, świadek zeznał, co następuje:

Imię i nazwisko	Jan Rzymełka
Imiona rodziców	Jan i Antonina z d. Wolfów
Data urodzenia	18 września 1877 r. w Józefowcu k. Katowic
Wykształcenie	Uniwersytet Jagielloński i teologia 4 lata
Wyznanie	rzymskokatolickie
Miejsce zamieszkania	Warszawa, przy kościele św. Krzyża
Zajęcie	kapłan, proboszcz parafii św. Krzyża

Będąc proboszczem parafii św. Krzyża w Warszawie, zostałem po raz pierwszy uwięziony przez Niemców 3 października 1939 roku razem z 213 księżmi warszawskimi i wielu osobami z inteligencji i dostałem się do więzienia na Pawiaku, gdzie dowiedziałem się, iż zostaliśmy aresztowani jako zakładnicy i w wypadku, gdyby 5 października przy tryumfalnym wjeździe do Warszawy Hitlera miała miejsce jakaś akcja ze strony Polaków, zostaniemy rozstrzelani. 5 października zostałem zwolniony ze względu na wiek. Pozostało wtedy w więzieniu 27 prałatów i wybitniejszych księży jako zakładników politycznych. Jako prezes Towarzystwa Obrony Kresów Zachodnich w latach 1919 – 1921 za akcję plebiscytową na Górnym Śląsku byłem poszukiwany przez gestapo z Katowic za pośrednictwem gestapo warszawskiego.

W okresie od 7 lipca 1942 do 17 maja 1943 roku ukrywałem się w różnych miejscowościach na skutek ostrzeżeń polskiej organizacji podziemnej. Ostatecznie, mając grunt przygotowany

przez przekupienie 19 tys. zł gestapowców w Warszawie, po dwudniowym śledztwie, 18 maja 1943 roku zostałem zwolniony.

W dwa miesiące po zabiciu Kutschery (7 lutego 1944) zostałem ponownie uwięziony na podstawie donosu. Aresztowano wtedy 21 księży, dwu braci z parafii św. Krzyża w Warszawie. Po dwudniowym śledztwie w al. Szucha sześciu księży zwolniono, pozostałych zatrzymano w więzieniu na Pawiaku. Aresztowani byli: ja, ks. Jan Paszena, ks. Więckiewicz, ks. Jan Dim, ks. Józef Leńko, ks. Stanisław Skorupiński, ks. Witold Ornaf, ks. Baner, ks. Florko, ks. Serżysko, ks. Bronisław Szymański, brat Wojciech Bogacz, brat Ludwik Mozalewski, brat Józef Stopiński, brat Aleksander Cap. Potem uwolniono jeszcze chorych księdza Paszenę i Cechala.

29 marca 1944 wywieziono mnie w transporcie 550 więźniów, w tym 64 kryminalistów, w większości szmuglerów. W grupie dziewięciu księży i sześciu braci trafiliśmy do obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen. W obozie tym pozostałem do 8 lutego 1945, potem transportem przewieziono mnie do obozu Dora Nordhausen. Żyłem tam od 8 lutego do 29 marca 1945 roku, po czym w transporcie zostałem odstawiony do obozu w Bergen (Belsen), gdzie pozostałem od 30 marca do 15 kwietnia 1945, do chwili wyzwolenia przez Anglików.

Transport z Pawiaka odbywał się w ten sposób, że powiązano nas po pięciu razem, pomieszczono w wagonach bydłowych (bez kubłów), z lasowanym wapnem na podłogach, po 70 więźniów na jeden wagon. Już na Pawiaku, a także w drodze i w obozie przykre było pomieszczenie z kryminalistami, gdyż ci nędzarze wzajemnie się okradali, zamieniając w nocy łachmany i obuwie, co sprowadzało i na nas bicie, znęcanie się kapów.

Po przybyciu na stację w Gross-Rosen w zaplombowanych wagonach wypchnięto nas wśród bicia i ustawiono piątkami. Eskortowani przez uzbrojonych SS-manów, zostaliśmy dostawieni do 8 bloku w obozie. Dano nam tu zupę i sienniki, lokując po trzysta osób w hali. Wśród bicia pilnowano porządku. Nazajutrz spisano personalia nowo przybyłych według alfabetu i pognano na plac apelowy. Księżom urągano z powodu sukien. Mnie, najstarszemu, SS-man wymierzył siedem policzków w ciągu dwu godzin, wybijając kilka zębów. Następnie przy 15 stopniach mrozu kazano rozebrać się do naga i popędzono do kąpieli pod tusz, zabierając rzeczy do magazynu. Po ogoleniu wszystkich włosów i kąpieli, w czasie której oblanano nas płynami dezynfekcyjnymi, SS-mani z Drozdowskim na czele bili nas gumowymi pałkami. Otrzymałem wtedy pięć uderzeń w głowę. Następnie ubrano nas w drewniane buty i obozowe brudne pasiaki, niektóre z napisem „SUS”, z krzyżykami na plecach, dano numery.

Otrzymałem numer 26 046. Potem na placu apelowym starszych więźniów przydzielono do robót ziemnych, młodszych do kamieniołomów granitu i robót cementowych. Praca była niezmiernie ciężka, trwała cały dzień z przerwą obiadową. Po dwóch tygodniach sortowano nas według zawodów, rozmieszczając grupy po blokach. Komisja lekarska do sortowania składała się z *Lagerarzta*, polskich lekarzy (między innymi był tam dr Biały) i SS-manów.

Jaki był regulamin obozowy i czy wszystkie szykany spotykające więźniów wynikały z tajnych instrukcji, nie wiem. Przypuszczam, iż wszystkie szykany wynikały z organizacji obozu mającej na celu likwidowanie więźniów przez pracę i złe warunki.

Statystyki co do liczby więźniów ściśle nie znam, razem z komandami obóz mógł liczyć około 30 tys. więźniów. W czasie mego pobytu księży było 61, przeżyło dwudziestu.

O internowanych w obozie nie wiem.

W listopadzie czy grudniu 1944 roku przywieziono około piętnastu księży z Belgii, częściowo z Brukseli, lecz byli oni tak samo traktowani jak inni więźniowie.

W ogóle księży w obozie przywilejów nie mieli. Słyszałem od Pawła Morgały, funkcyjnego więźnia w obozie, iż od 1 listopada 1943 zarządzeniem *Lagerkomendanta* regulamin obozowy został złagodzony w ten sposób, iż kapowie nie powinni byli, jak dotąd to czynili, razem z SS-manami zabijać więźniów przy pracy czy na bloku. Mimo to bicie i kaleczenie zdarzało się i później.

Początkowo zostałem pomieszczony w 5 bloku – *Polen Block*. Blokowym był tu Bolesław Książkiewicz, w drugiej części bloku Figiel, rodem z Sosnowca. Sypialiśmy po dwóch na jednym łóżku, łóżka były trzypiętrowe. Dokuczały wszy, z tym, iż według regulaminu za znalezienie wszy u więźnia bito delikwenta. Rano otrzymywaliśmy mehl-zupę (zupę zaprawioną kaszą lub wygotowaną cykorię i chleb). Na obiad dawano nam litr brukwi źle ugotowanej lub jarmuż z pokrzywą. Na kolację chochlę zupy i 100 g chleba.

Początkowo przydzielono mnie do robót ziemnych, pracowałem z łopatą do 16 kwietnia 1944 roku, kiedy dostałem wodnej puchliny w nogach. Wiosną poczułem się lepiej i pracowałem na kartoflisku i przy krematorium. Ze skrzyń wydobywałem pokrwawione bandaże, zakopywałem w dołki, na dole pod bandażami spostrzegłem proch i drobne niedopalone kości. Wszystko to zakopywałem, a potem w tym miejscu sadzono ziemniaki.

Ponownie zachorowałem, otworzyła mi się rana na prawej nodze, materia płynna ciekła w drewniaki, w lewym uchu pękła błona. Stawiano mnie ciągle przed komisją lekarską, rozbierano dziewiętnaście razy. Od czerwca do września 1944 przydzielono mnie do tzw. *Steikommando*, gdzie głównie pracowali starsi więźniowie – czyściłem jarzyny, zmywałem naczynia. Więźniowie funkcyjni raczej mnie oszczędzali, nazywali mnie *Prior*, natomiast SS-mani (z trupimi główkami) bili przy każdym spotkaniu. W Wielki Czwartek 1944 roku SS-man złapał mnie i innego księdza na modlitwie. Rozpoczęło się znęcanie, skakaliśmy żabki, musieliśmy się tarzać po ziemi, potem jeszcze za karę czyścić wychodki.

Z dozorców zapamiętałem Petera Pongartza rodem z Akwizgranu, gdzie miał siostrę zakonnicę. Pongartz mnie nie bił, a nawet udało mi się niejednokrotnie go zmiękczyć, może dzięki znajomości języka niemieckiego. W kwietniu 1944 widziałem jednak jak Pongartz pobił [?] księdza Zygmunta Chmielnickiego, konsekrowanego biskupa z Żytomierza, przywiezionego z księżmi Syrowiczem z Równego i Kąkolem z Łucka. Księża Syrowicz i Kąkol wyjechali transportem do Dachau w grudniu 1944. Pongartz bił ks. Chmielnickiego przy pracy styliskiem od rydla, odbił mu nerkę. Po powrocie z robót, przywleczony do obozu ks. Chmielnicki zmarł, zanim zdołano odnieść go na rewir. Widziałem również jak Pongartz ciężko pobił przy pracy ks. Pykosza, dyrektora Zakładu Wychowawczego Salezjanów z Zakładu ks. Siemca w Warszawie, który – mając odbite nerki – zaziębił się pracując w deszcz i zmarł. Mówiono w obozie, iż Pongartz ma na sumieniu śmierć 1,2 tys. więźniów w Gross-Rosen i Sachsenhausen. W czasie ładowania żwiru ciężko obity przez Pongartza został też Zbihorski, były starosta w Zamościu, obecnie adwokat czy też urzędnik we Wrocławiu.

Straż obozową na wieżach pełnili Ukraińcy, w większości volksdeutsche z Chorwacji i Słowacji.

Nazwisk ich nie znam.

Znanym z okrucieństwa wobec więźniów był SS-man Drozdowski, były policjant policji konnej XIII komisariatu w Warszawie, mówiący z litewska. Był to szatyn, wysoki, szczupły, lecz dobrej budowy, o jasnych oczach, lat około 30. Mówi o nim Gładysz w swej publikacji o obozie w Gross-Rosen.

Władze obozu aprobowały znęcanie się nad więźniami, nigdy nie słyszeliśmy o naganach za bicie, wprost przeciwnie – znani z okrucieństwa SS-mani czy też więźniowie funkcyjni mieli mocną pozycję.

Nazwiska komendanta obozu nie znam, wiem iż rzadko pokazywał się w obozie.

Publiczne wieszanie więźniów widziałem w październiku 1944 roku. Powieszono czterech więźniów Niemców za zabicie *Lageraltestera* w obozie.

Ucieczki więźniów rzadko się zdarzały, były prawie niemożliwe. Częściej więźniowie rzucali się na druty, by znaleźć śmierć od porażenia prądem lub kuli strażnika. I tak widziałem, jak w czerwcu 1944 więzień z transportu białostockiego Węglewski rzucił się na druty, znajdując śmierć. Z powodu prób ucieczki stosowane były represje na bloku. Podejrzani o pomoc szli do SK, cały blok dostawał ciężką pracę. Gdy brakło więźnia przy rachunku na placu apelowym, apel przeciągał się do czasu odnalezienia go.

Pomoc lekarską dawał szpital obozowy – rewir, jednakże przyjęcia tam były utrudnione. Na bloku w zasadzie chorych miało nie być, wobec tego więźniowie ciężko chorzy – a nie zwolnieni od pracy – marli, wykańczani biciem. Chorowano od pobicia, na zapalenie płuc i głodową biegunkę, rezultat wycieńczenia błony śluzowej. Trzy czwarte więźniów było okaleczonych czy to wrzodami, czy przez bicie, czy też na skutek wypadków przy zbyt ciężkiej pracy. Potrzebujący opatrunków zgłaszali się do blokowego i razem byli kierowani do lekarza na rewir, który załatwiał pacjentów systemem ambulatoryjnym. Zmarłych przy pracy lub wykończonych na bloku wleczono na plac apelowy, by rachunek się zgadzał przy obliczaniu.

Nie widziałem, by jeszcze żywych więźniów rzucono do krematorium.

Od Niemców słyszałem, iż w roku 1941 czy 1942 najwięcej w ciągu dnia pracy zmarło 170 więźniów. Statystyki zgonów nie znam. Więcej danych statystycznych mógłby podać Wejsberg (zam. w Warszawie), który pracował w kancelarii obozowej.

Pod koniec września 1944 zaczęły napływać do obozu transporty powstańców i ludności cywilnej z Warszawy. Te transporty były izolowane w odrutowanym baraku i my mogliśmy się z nimi stykać tylko w niedzielę. Po wykryciu spisku przeciw Hitlerowi przywieziono do baraku 8 około dwustu Niemców – sympatyków spiskowców. Częściowo zostali oni zwolnieni, 80 wywieziono w niewiadomym kierunku.

Od 8 lutego 1945 roku rozpoczęła się ewakuacja nakazana z góry. Więźniów najstarszych pozostawiono w obozie i o dalszych ich losach nic nie wiem. Więźniów zdrowych ewakuowano piechotą, lżej chorych wysyłano pociągami. Jako słabego lekarza polscy umieścili mnie

w rewirze. 8 lutego 1945 w transporcie 6 tys. chorych wyjechałem rzekomo do Buchenwaldu. W drodze na dworzec (3 km) dwóch słabych więźniów SS-mani zastrzelili, strącając do rowu przydrożnego, innych szczuli specjalnie tresowanymi psami, które darły więźniom pasiaki i łydki. Załadowano nas w nocy, przy śniegu i mrozie, w otwarte węglarki, po 109 osób do wagonu. Mego wagonu pilnowała straż złożona z dwóch volksdeutschów z Chorwacji. Żywność dostaliśmy na dwa dni, jechaliśmy bez kubłów od 8 do 12 lutego, krążąc po bocznych torach, z powodu zbombardowania torów głównych. Buchenwald odmówił przyjęcia, wobec czego dowieziono nas do Nordhausen, do obozu Dora, mieszczącego ogromną fabrykę Kruppa, ukrytą w 4-kilometrowym tunelu w górach Harzu. Przy wyładowywaniu w naszym wagonie na 109 więźniów okazało się 21 trupów. Z 6 tys. w transporcie przeszło tysiąc osób zmarło w drodze lub zostało zabitych. Ja wyszedłem z odmrożoną prawą nogą, trzy palce miałem zdeptane, tak iż mi krew ciekła z drewniaka. Ze stacji do baraków w Dora szliśmy przeszło godzinę, znacząc pochód padłymi ze zmęczenia, zbieranymi przez ciężarówkę trupami. Po czterech dniach dostałem się na rewir i leżałem we trzech, potem we dwóch w łóżku przez osiem tygodni. Nogi mi ocalały, straciłem jedynie czucie w palcach. W tym czasie w obozie panował rodzaj krwawej biegunki z powodu wycieńczenia błony śluzowej, pokarm nie zatrzymywał się w jelitach. Ludzie umierali z wycieńczenia we własnym kale na podłodze z ceratą.

Z powodu nalotów alianckich w pierwszych dniach kwietnia nakazano ewakuację obozu Dora przez Hanower i Celle do koszar w Belsen (na południe między Bremą a Hamburgiem). Szpital ruszył pierwszy, jechaliśmy pociągiem pod bombami eskadr alianckich. Po czterech dobach dostaliśmy się do Bergen, a stąd sześć kilometrów do koszar pieszo. W drodze dwukrotnie zatrzymywano się dla grzebania zmarłych, raz zniesiono 27, z tego 15 zmarłych i 12 dogorywających.

Zdrowi więźniowie kopali doły, ściągali ze zmarłych wszystko, w tym czasie eskorta niemiecka dobijała konających, strzelając w usta lub oczy z pistoletu. Trzeciej nocy jazdy wyrzucono z wagonów 52 zmarłych, 26 dogorywających. Ja sam z dworca do koszar w Bergen doszedłem ostatkiem sił, po czym leżałem tydzień na betonie, co spowodowało utratę władzy w nogach.

W dniu 15 kwietnia 1945 roku uwolnili obóz Anglicy.

Na tym protokół zakończono i odczytano.